25 LAT TEMU

W OBRONIE OJCZYSTEJ ZIEMI

Rys. J. Rocki

BYŁO TO W GRUDniu 1942 ROKU, na terenie powiatu zamojskiego. Od kilku tygodni hitlerowcy pacyfikowali polskie wsie, paląc domy i wywożąc ludność na inne tereny, a często i do obozów koncentracyjnych. Niemcy pragnęli stworzyć tutaj, na zamojskiej ziemi, miejsce dla swoich osadników przesiedlonych z krajów bałkańskich. Przeciwstawiły się temu Bataliony Chłopskie. Dziś, w dwudziestą piątą rocznicę walk w obronie Zamojszczyzny piszemy o pierwszej stoczonej z hitlerowcami bitwie.

O walkach BCh przeczytaj na str. 8

Świat MŁODYCH
GAZETA HARCERSKA

Nr 21 (1699) Warszawa, wtorek, 12 marca 1968 r. Cena 50 gr

PŁYNĄ PIENIĄDZE NA NAJPIĘKNIEJSZY POMNIK

CHĘTNIE czytamy „Świat Młodych" w domu i na lekcjach języka polskiego. Wzruszył nas bardzo artykuł „W hołdzie małym bohaterom".

My wszyscy z klasy IV Szkoły Ćwiczeń w Bielsku Podlaskim wraz z p. wychowawczynią Leandrą Fiedorukową pragniemy przyczynić się do wzniesienia pięknego domu: CENTRUM ZDROWIA DZIECKA.

Zebraliśmy i sprzedaliśmy dużo makulatury. Dołożyliśmy trochę swoich oszczędności. Pieniądze w sumie 401 zł przekazaliśmy na budowę najwspanialszego z pomników, POMNIKA-SZPITALA.

Serdecznie Cię pozdrowiają

ucz. kl. IV Szkoły Ćwiczeń
Bielsk Podlaski

NASTOLATKI A RODZICE

W naszym gronie dość żywą reakcję wywołała opowieść o tym, że dorośli nie chcą tolerować znajomości chłopca i dziewczynki. To prawda, że są plotki, które w zniekształconej formie docierają do rodziców. Mają wówczas miejsce awantury, rozmowy, podejrzenia.

Nie chcę się godzić z niemądrym gadaniem, bo nie jesteśmy częstokroć winni. Ja nieraz, gdy chcę się upewnić, co jest zadane, idę do kolegi, który najbliżej mieszka. Czy jest w tym coś złego?

Jednocześnie pamiętam pewien przypadek, który na długo utkwił mi w pamięci i sercu. Otóż pewnego dnia przyszło do mnie dwóch kolegów. Mama zachowała się wspaniale. Sama zrobiła nam herbatę i poczęstowała ciastkami.

Och! Jaka byłam wtedy dumna ze swojej mamy! Jednym gestem wytworzyła miłą, serdeczną atmosferę. Piszę o tym z pełną satysfakcją i dumą.

„ITA" z Białogardu

PANCERNI ZNÓW NA PLANIE

HANIA CZY ANIA? Któż je rozpozna? Plk Janusz Przymanowski pisząc jeden z następnych odcinków „Czterech pancernych" zaplanował, że bliźniaczki będą myliły się każdemu. I rzeczywiście mylą się każdemu i to na każdym kroku: w czasie kręcenia filmu na planie i w czasie przerw w zdjęciach. Gustlik na przykład już zrezygnował z odszyfrowania, która jest która.

Nie myślcie tylko, że te siostry bliźniaczki są Japonkami. To autentyczne Polki, studentki łódzkiej politechniki.

Foto: R. Kropat

Tytus — artystą

Harcerze ze Szkoły Podstawowej nr 2 w Łapach zawsze z niecierpliwością oczekują na dalsze przygody Tytusa ze „Świata Młodych". Ostatnio postanowili mieć własnego... Tytusa. I stało się: teraz Tytus i A'Tomek są nieodłącznymi towarzyszami tutejszego zastępu artystycznego. Każda zbiórka i występ zastępu to nowa przygoda bohaterów historyjki obrazkowej. Nic dziwnego — nad pomysłami pracuje cały zastęp.

„My, Rada Czarnej Trzynastki Krakowskiej, ogłaszamy wszem, wobec i każdemu z osobna, iże Anno Domini 1918, miesiąca lútego, dnia 17, utworzona została Czarna Trzynastka Krakowska zwana, pod sztandarem Zawiszy Czarnego herbu Sulima z Garbowa.

Nakazujemy, aby od dnia dzisiejszego święcić Złote Gody 50 lat istnienia harcami i wszelkimi uciechami, by dla potomnych pamiętnym po wsze czasy zostało".

Pół wieku „CZARNEJ TRZYNASTKI"

SŁOWA ODCZYTYWANE głośno i wyraźnie z dokumentu pieczętowanego ogromną pieczęcią z wosku, padały wśród stojących w skupieniu harcerzy. Był wieczór, płonące pochodnie oświetlały stary wawelski dziedziniec, który w swoich długich dziejach widział już niejedno. Teraz przybyli tu harcerze. Przeszli na Wawel uroczystym pochodem z werblami, pochodniami. Razem z nimi około setka starych „Trzynastaków", którzy wyrośli z harcerskich mundurów, ale w „Trzynastce" zostawili serce.

„Trzynastka" w ogniu

ROK 1918 — pierwsze dni po ogłoszeniu niepodległości państwa polskiego. Krakowscy harcerze od razu włączyli się do akcji rozbrajania austriackich żołnierzy oraz do straży obywatelskiej pilnującej porządku w mieście.

„Trzynastaków" nie zabrakło też w Powstaniach Śląskich. Dwóch z nich poległo wtedy w walce z Niemcami.

We wrześniu 1939 roku, w dniach najazdu hitlerowskiego na nasz kraj, Trzynastka Krakowska miała lat 21, wychowała więc już jedno pokolenie harcerskie. Przyboczny drużyny dh Marcin Ryszka, pełniąc na krakowskim lotnisku wartę, zginął od hitlerowskiej bomby, drugi przyboczny dh Jan Gielert został rozstrzelany wraz z 50 innymi zakładnikami na ul. Botanicznej w Krakowie. Zginął cały zastęp harcerski, obsługujący tajną radiostację przy ul. Prądnickiej.

Ignacy Fik, wybitny postępowy krytyk literacki, poeta i publicysta, sekretarz Komitetu Miejskiego PPR w Krakowie również z „Trzynastki" oraz jego towarzysz Mieczysław Lewiński zostali zastrzeleni przez hitlerowców. Ich imiona noszą teraz krakowskie hufce ZHP i harcerskie drużyny. Wielu chłopców z Czarnej Trzynastki zginęło w obozach koncentracyjnych. W bitwie o Anglię, w Dywizjonie 303, walczył Zygmunt Wegner — „Trzynastak" — o którym w swojej książce pisze Arkady Fiedler. Kilku zginęło w Powstaniu Warszawskim...

Lista poległych jest długa. Na wawelskim dziedzińcu, w 50 lat po założeniu drużyny, odczytano przy dźwiękach werbli apel poległych.

Pod okiem Światowida

DZIŚ zastępy harcerskie szczepu Czarnej Trzynastki prowadzą akcję „Śladami historii", zbierają wiadomości o dziejach drużyny, gromadzą stare dokumenty, legitymacje, fotografie. W maju zostanie zorganizowana wystawa, jak również odbędą się główne uroczystości jubileuszowe, nad którymi protektorat objął wiceminister kultury tow. Kazimierz Rusinek, również b. członek Czarnej Krakowskiej Trzynastki.

W szkole, przy ulicy Szlak, Czarna Trzynastka ma swoją harcówkę. W rogu izby, na wprost kominka bieleje totem Światowida, stoi on na słowiańskim kurhanie. Drużyny zaś noszą nazwy gromad, a zastępy starych słowiańskich plemion: Wiślan, Łużyczan, Polan. Każdy harcerz po przyrzeczeniu otrzymuje słowiańskie imię. Druh szczepowy, mgr inż. Zygmunt Smoleń, nosi np. imię Domana XIII Czarnego. Zuchy składają obietnicę w Smoczej Jamie, a ich gromady mają nazwy legendarnych przodków: Kraka, Piasta i innych.

Mimo iż Czarna Trzynastka lubi słowiańskie zwyczaje, nieobca jest jej technika. Harcerze z „Trzynastki" szkolą się w mechanice i technice, zajmują się terenoznawstwem, topografią, turystyką, Młodzieżową Służbą Ruchu... Zastęp Łużyczan zamierza również zabrać się do żeglarstwa.

(ag)

W 50 rocznicę Powstania Krakowskiej Czarnej Trzynastki komendant Chorągwi ZHP w Krakowie dh hm Władysław Pancerz odbiera przyrzeczenie harcerskie na wawelskim dziedzińcu. Na główne uroczystości jubileuszowe, które odbędą się w maju, przybędzie wielu już dorosłych „Trzynastaków". Z okazji jubileuszu już teraz „Świat Młodych" życzy Czarnej Trzynastce 100 lat.

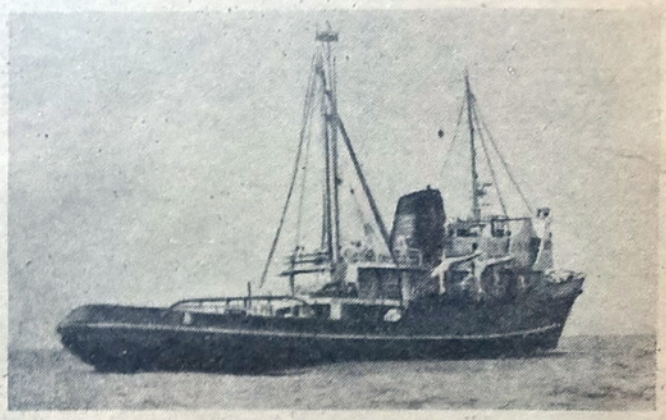

„Jantar" — holownik Polskiego Ratownictwa Okrętowego wracał po uciążliwym rejsie do kraju. (Holowaliśmy z Quebec w Kanadzie dwa wraki na złom, do Bilbao, w Północnej Hiszpanii). W drodze nękały nas sztormy, rwały się hole. Jeden z wraków przeciekał... Załoga „Jantara" to doświadczone wilki morskie. Wraki dotarły na miejsce przeznaczenia.

Jak zostałam

Wracamy do kraju

PÓŁNOCNY Atlantyk tłukł wściekle o dziób i burty „Jantara"; grzywacze pracowicie spłukiwały szyby bulajów, iluminatorów. Obmywały słoną wodą cały holownik po pelengowy, czyli namiarowy pokład (ten najwyższy) włącznie. W wielu miejscach pozżerały farbę i na białutkich szotach potworzyły rude plamy i zacieki.

Oczywistą jest rzeczą, że taki „laciaty" holownik nie mógł pokazać się w ojczystym porcie. Więc jak tylko opuściliśmy port Santurce, dejmani zabrali się do gruntownych porządków.

Dejmani to grupa marynarzy, wyłączonych z normalnych czterogodzinnych wacht morskich. Pracowali w dzień przez osiem godzin. Odstukiwali swoje i kropka. (Słowo — dejman — pochodzi z angielskiego day men, co znaczy dzienny człowiek).

Właśnie w drodze do kraju z normalnych wacht na dejmankę przeszedł Rysio — „Jantarek". A że w czasie rejsu zawarliśmy z nim serdeczną przyjaźń, „Jantarek" nie mógł mi darować „bezczynności", czyli wystawania na mostku sterowniczym, kiedy on i inni dejmani pracowali w wielkim trudzie, doprowadzając wygląd statku do porządku.

— Namiary, phi, wielka sztuka. Łapanie słońca sekstantem. A obliczenia robią za ciebie oficerowie... Nigdy nie będziesz prawdziwym marynarzem, jeśli nie zaczniesz od dejmanki. Tu jest dopiero robota ciekawa... — kusił i judził tak długo, aż naprawdę gorąco zapragnęłam zakosztować dejmańskiej doli.

— Zgłoś się do bosmana i to zaraz. Może przyjmie cię do pracy już od jutra... Obudzę cię przed szóstą. Aha, i weź od bosmana dejmański uniform i rękawice. Bo się umażesz. Jutro czarujemy minię.

Czarowanie minii

Redaktorka, dejmanem? A co kapitan? Pytała pani, czy można? I skąd ja wezmę takie małe spodnie, chyba, że „Pierwszy" pożyczy... — Bosman nie wyglądał na uszczęśliwionego moją decyzją. Kapitan też nie. Pierwszy oficer, pan Janusz Zagrodzki, który akurat był przy mojej rozmowie ze „starym", czyli z kapitanem, załamał ręce... — O, Jezu, zniszczy na pewno i portki, i bluzę, a mam nowiuteńkie. Ale dam. Żeby tylko pięć dni do kraju...

Najbardziej wyrozumiały był „Trzeci" — pan Andrzej Chmieliński. Wcisnął mi przy kolacji czapkę z daszkiem — bo fryzury szkoda...

Nazajutrz o świcie bezlitosny „Jantarek" łomotaniem w drzwi kabiny dał znać, że dejmanka to nie przelewki. Ubrana w przydługi rynsztunek „Pierwszego" z czapką w ręku, bo jakoś mi nie pasowała, zameldowałam się u bosmana punktualnie o siódmej.

— Ja chyba panią przydzielę do „Jantarka". Przez niego ten cały kłopot, to niech ma...

A „Jantarek", mój serdeczny przyjaciel „Jantarek", tylko na to czekał.

— Młodszy marynarzu Mroczkówna, zaczniemy od pokładu szalupowego. Proszę za mną... Podreptałam bez sprzeciwu.

Oto i pokład. Zaczynamy od prawej burty. „Jantarek" miesza patykiem farbę w blaszanej puszce.

— Patrz, królowo, jak to się robi. Rozmieszać trza dokładnie, bo gęsta na dnie zostanie. Widzisz te plamy?

— Pewnie, że widzę, świetnie rozróżniam kolory — odpowiadam rzeczowo. Całe szoty i relingi, pospstrzone są minią na czerwono. To właśnie wczorajsze dzieło „Jantarka". Bardzo pracowicie zamazywał wszystkie rdze i odpryski aż do wieczora, szykując odpowiednią ilość pracy na dziś dla nas obojga...

Redaktorka przy pracy...

DEJMANEM...

USIŁUJĘ powtórzyć bezbłędnie ruchy „Jantarka". Kręcę patykiem w puszce. Pędzel do ręki. Maczam go w farbie, ocieram o brzeg...

— Jednak uparła się pani... W drzwiach sterowni staje kapitan.

— Zaraz pani pokażę prawdziwe malowanie... Stara szkoła. Wszyscy w Gdyni zaczynaliśmy od tego...

Kapitan odbiera pędzel, macza go w farbie. Ociera o brzeg puszki. — O, najpierw w poprzek, mocniej, potem wzdłuż wyrównać...

Następna plama... Jeszcze jedna i jeszcze...

— No, ale ja na śniadanie. Niech pani teraz sama.

Kręcę patykiem w puszce. Maczam pędzel. Ocieram o brzeg...

— O, redaktorka przy pracy... — Zaraz pokażę jak się maluje. „Pierwszy" właśnie skończył wachtę. Twarz ma zmęczoną, mógłby iść się umyć i na śniadanie, ale nie.

— Najpierw w poprzek, potem wzdłuż... Jeden mazak niknie, drugi, czwarty...

Odchodzi wreszcie pan Zagrodzki. Oddycham z ulgą. Biorę patyk. Mieszam. Maczam pędzel...

— Co pani robi?! — Ze sterowni wygląca „Trzeci", który właśnie objął wachtę.

Zawsze byłam lękliwa. Wiele trudu musiałam włożyć, by pokonać wrodzoną nieśmiałość. W szkole najczęściej zdarzało się to oczywiście na matematyce, w której nie celowałam... Wystarczyło groźne spojrzenie profesorki, którym obrzucała mnie przy tablicy... Kreda leciała z rąk. Wzory plątały się. Zamiast dzielić — odejmowałam...

Tak i teraz. Pod groźnym spojrzeniem „Trzeciego" zanurzam pędzel w farbie, aż po czubek rączki i zaczynam mieszać.

„Jantarek", który cały czas trzymał się z daleka, jest już obok. Wydziera mi ten pędzel. Wyciera go szmatą. „Trzeci" tylko na to czeka.

— Ja pani dokładnie pokażę...

Niknie następnych kilka plam...

I tak pokład szalupowy skończyliśmy bardzo szybko... Skończyliśmy — to może za mocno powiedziane. Przychodziło mnóstwo osób. Pouczało — najpierw w poprzek, potem wzdłuż... Moja rola polegała jedynie na wielokrotnym kręceniu patyka w puszce, z której farby wciąż ubywało.

Potem przeszliśmy z „Jantarkiem" do innych prac. Pod koniec dejmanki bosman odwołał na bok starszego marynarza Ryszarda Sobczaka i sądząc, że nie słyszę, powiedział:

— Wiesz, co, Rysiu, musisz wstać jutro wcześniej, i tę stronę, którą malowała redaktorka, poprawić. Zrób to cicho, żeby nikt nie widział, niech jej nie będzie przykro. Tyle się biedna napracowała.

WIESŁAWA MROCZEK
Foto autorki

PS. Być może ktoś z uważnych czytelników przypomniał sobie podobną historię z powieści Marka Twaina pt. „Przygody Tomka Sawyera". Ale życie potrafi płatać figle — i to jakie.

Tak wyglądałam w pełnym dejmańskim rynsztunku.

PERPETUUM MOBILE

specjalne wydanie

Propozycje naszych czytelników — część I

KOCHANI, sprawiliście nam miłą niespodziankę przysyłając ogromną ilość rozmaitych pomysłów „wiecznej maszyny". Prawdę mówiąc, nie spodziewaliśmy się tak dużego „żniwa", bo przecież projektowanie rzeczy niemożliwych nie jest wcale łatwe. Nie docenialiśmy was! Okazuje się, że nie tylko potraficie precyzyjnie rozumować, ale również i fantazjować. Oczywiście żaden z nadesłanych projektów nie może być maszyną poruszającą się wiecznie, ale o tym wiedzieliśmy z góry i my i wy. Krótko mówiąc zabawa udała się.

Dziś zamieszczamy kilka pierwszych projektów. Autorzy ich zostają nagrodzeni bonami książkowymi wartości 40 złotych każdy.

Motorower samojeżdżący

„W 13 numerze Waszego pisma, a ściślej w „Labiryncie" zamieściliście b. ciekawy artykuł, dotyczący perpetuum mobile. Absurdalność perpetuum mobile polega właśnie na zasadzie zachowania energii, której nie można ani stwarzać, ani unicestwiać — można ją tylko przetwarzać z jednej formy w drugą. Oprócz tego, możemy dodać, że przy założeniu o nieistniejącym tarciu i oporze ośrodka, niektóre z aparatów mogłyby funkcjonować rzeczywiście, ale nie wykonując żadnej pracy nie stanowiłyby perpetuum mobile. Na przykład: jeżeli byśmy mogli usunąć tarcie w punkcie zawieszenia, oraz opór powietrza, wahadło puszczone w ruch, nigdy się nie zatrzyma, ale też nie będzie wykonywać żadnej pracy. Oczywiście, tarcia i oporu ośrodka w praktyce usunąć nie można!

Wyobraźmy sobie, że na bagażniku motoroweru umieszczony jest kompresor przeznaczony do zasilania silnika, a wprawiany w ruch przez tylne koło napędzane z kolei przez silnik. Układ taki powinien być samowystarczalny, gdyż silnik porusza koło, koło porusza kompresor, a kompresor zasila silnik. Cykl jest zamknięty.

BARTŁOMIEJ ZBORSKI
z Warszawy

*

Bartłomiej przysłał nam aż 8 projektów perpetuum mobile. Wybraliśmy z nich tylko jeden, dotyczący samojeżdżącego motoroweru (patrz rysunek).

Młyńskie koło

Przedstawiam projekt swojego perpetuum mobile. Wygląda on następująco: ze zbiornika „a" wycieka woda i porusza koło łopatkowe „b", a stamtąd do zbiornika „c". Pompa „d" (ssąco-tłocząca) podnosi wodę do zbiornika „a". (Pompa jest napędzana przez koło łopatkowe „b"). Ruch powinien trwać wiecznie.

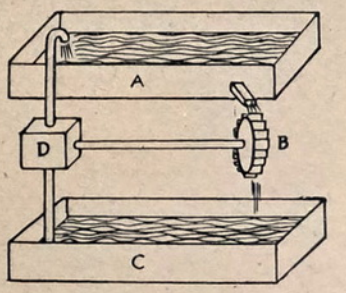

MARIUSZ KUSZEWSKI
Gdańsk-Oliwa

Wieczna lampa i... „Świat Młodych"

MOIM PRZYKŁADEM jest „wieczna lampa" składająca się z trzech pryzmatów lub luster ustawionych pod odpowiednim kątem, tak żeby promień światła po odbiciu od jednego zwierciadła trafił do drugiego, po odbiciu od drugiego zwierciadła trafił do trzeciego zwierciadła, które z kolei skierowałoby go w kierunku pierwszego, drugiego, trzeciego, znów pierwszego itd. Oświetlanie pomieszczeń takimi lampami nie może być zrealizowane, ale teoretycznie takie lampy mogłyby istnieć.

Moim drugim przykładem — komplementem, który proszę ocenić już nie od strony praktycznej czy teoretycznej, ale humorystycznej — jest fakt z mojego życia. Gdy pierwszy raz przeczytałem „Świat Młodych", spowodowało to przeczytanie drugiego numeru, przeczytanie drugiego skłoniło mnie do kupienia trzeciego, czwartego, piątego. Cykl ten bez żadnych wpływów z zewnątrz powinien trwać wiecznie. Zresztą czy ja wiem?

STANISŁAW TOBIASZ
wieś Kopaliny
poczta Wiśnicz Nowy

Z ZASŁYSZANYCH OPOWIEŚCI

Kot WANIA

SIEDZIELIŚMY NA WERANDZIE i, jak tradycyjny obyczaj każe, jedliśmy baraninę palcami. Było potwornie gorąco, choć to maj dopiero i jeszcze wczesna godzina poranna. Cieszyłem się, że tego dnia nigdzie dalej nie pojedziemy, że wreszcie czeka mnie zasłużony odpoczynek. A rezerwat przyrody w Tigrowej Balce (Dolina Tygrysów) kusił pięknymi jeziorami i dzikimi gąszczami bujnej roślinności. Jedliśmy powoli. Po raz pierwszy od wielu dni podróży po Środkowej Azji nigdzie mi się nie śpieszyło.

Nagle na balustradę werandy wskoczyło jakieś zwierzę.

— Żbik! — zawołałem, trochę przestraszony.

A tymczasem „żbik" oddał jeszcze jednego susa i już ocierał się o nogi jedzących, dopominając się wyraźnie o jakiś smakowity kąsek.

Wstydząc się swego okrzyku, wrzuciłem w misce spory kawał mięsa i rzuciłem go kotu. Ten chwycił w locie i trzymając w pysku skrył się w pobliskich chaszczach.

Gospodarze się wesoło roześmieli. — Nie przejmuj się — powiedział Sierioża — każdemu zdarzają się pomyłki, a ta tym łatwiejsza, że Wania jest mieszańcem, żbika i bucharskiego kota.

— Zresztą Wania — wtrącił Oczkiliew Saideli — jest najlepszym tego dowodem. Chcesz, chodźmy na łódkę, popływamy trochę po jeziorze, a ja ci opowiem historię Wani. Nie pożałujesz, bo Wania nie jest zwykłym kotem. Sam zresztą się przekonasz.

WALKA Z GIURSĄ

CZTERY LATA TEMU byłem traktorzystą w nowo zorganizowanym sowchozie, nad samą granicą afgańską.

Nowy sowchoz... To u nas znaczy, że jest ziemia, ale nie ma wody, a jak nie ma wody, to nie ma życia. Dlatego przede wszystkim trzeba kopać kanał. Kopaliśmy więc ten kanał, którym miała popłynąć woda od rzeki Wachs. Całą dobę trwała praca. Ale nadeszło lato i już tylko w nocy można było wytrzymać w maszynie. W dzień — nie sposób gołą ręką dotknąć żadnej żelaznej części. Skóra zaraz zlazi jakby oblana wrzątkiem.

Jak widzisz ułomkiem nie jestem, roboty się nie boję, ale nieraz, po powrocie do domu, ledwie się ruszałem. Cóż... Z kanałem trzeba było się śpieszyć. Na wodę czekali ludzie, czekała ziemia.

Tego dnia wróciłem bardziej zmęczony niż zwykle. Trafiliśmy na bardzo zły odcinek. Piasek był sypki, ciągle zasypywał dopiero co przekopane miejsca.

W domu nie zastałem nikogo. Ani żony, ani syna. Zaniepokoiłem się. Wybrałem się natychmiast na poszukiwanie. — Musiało się stać coś złego — niespokojnie domyślałem się przyczyny, która spowodowała, że i Faryda i Wania na mnie nie czekali.

Znałem dobrze miejsca, gdzie Wania z kolegami polował na świstaki, gdzie ganiał z procą za bażantami, gdzie w Wachsie łowili ryby. Nie broniłem mu tego. U nas panują warunki pionierskie i chłopak musiał umieć radzić sobie w różnych sytuacjach.

Już kilkaset metrów za domem zaczynał się dziki step. Niskie kępy krzaków, spalona na słomę trawa. I piasek. Morze piasku. Dziś już tego nie ujrzysz. Wszędzie równe rzędy bawełny. Ale to było przecież cztery lata temu, a tu czas ma inne wymiary niż w Europie.

Już z dala ujrzałem Farydę i jakieś 40 m. od niej Wanię. Oboje stali nieruchomo, w dziwnych pozycjach. — Jak zaczarowani — pomyślałem — i zły, że tu marnują czas, zacząłem się przedzierać, by ich zaskoczyć, by wygarnąć, co o tym wszystkim myślę.

Byłem już blisko Farydy, kiedy zrozumiałem całą, straszliwą prawdę: na rozprażonym piasku prężyło się cielsko olbrzymiej giursy. Jej głowa kiwała się jakieś 50 cm nad ziemią. Wiedziałem dobrze, co to znaczy — lada chwila wyprężone ciało odbije się od ziemi i jak błyskawica wpadnie na Wanię. Ukąszenie giursy zazwyczaj bywa śmiertelne.

Teraz i ja stałem jak zahipnotyzowany. Bałem się nawet oddychać. Każdy nieostrożny ruch może przyśpieszyć ten moment, straszliwy moment ataku węża na moje dziecko. Byłem zupełnie bezradny. Zbyt daleko stałem, by obronić syna, zbyt blisko — by nie dostrzegać przerażenia w oczach Wani i dramatycznych skurczów przebiegających przez ciało żony.

Rys. M. Majewski

OSTRY DYŻUR

„Świata Młodych"

WIELU Z WAS po ukończeniu szkoły podstawowej zechce wybrać szkoły kształcące specjalistów dla wsi albo pozostanie na wsi i będzie tam pracować bądź z własnej chęci, bądź z konieczności. Dla każdego istnieje możliwość dalszej nauki, byleby ochota dopisała.

W bieżącym roku na przykład ukończy zasadnicze szkoły rolnicze około 32 tysiące młodych ludzi, ale miejsc w tych szkołach jest o wiele więcej. Są to szkoły rolnicze, ogrodnicze, rybackie i rachunkowości rolnej. Nauka w nich trwa dwa lata i daje możliwość dalszego kształcenia się w 3-letnich technikach rolniczych.

Do szkół rolniczych i ogrodniczych przyjmuje się młodzież w wieku powyżej 15 lat, po ukończeniu szkoły podstawowej, a do szkół rybackich (rybactwo śródlądowe) i rachunkowości — kandydatów w wieku od 16 lat.

Stosunkowo najmniej miejsc jest w szkołach rybackich, bo są tylko dwie takie szkoły.

Przy wszystkich zasadniczych szkołach rolniczych są internaty. Wyżywienie w internacie jest odpłatne, a uczniowie mogą się starać o stypendia, jeżeli mają dobre wyniki w nauce i gannie zachowują się.

Szczegółowych informacji w sprawach przyjęć do tych udzielają bezpośrednio lub oddziały oświaty przy wydziałach rolnictwa prezydiów wojewódzkich rad narodowych.

*

WSZYSCY ci, którzy kończeniu szkoły wowej pozostaną na zamierzają pracować rolnictwie, mogą i kontynuować naukę w przysposobienia rolniczego

MOŻLIWOŚCI KSZTAŁCENIA SIĘ NA

NIEOCZEKIWANE SPOTKANIE

I nagle stało się to, czego nikt z nas się nie spodziewał. Jak popielaty pocisk spadło na giursę jakieś zwierzę. Zakotłowało się! W kłębach unoszącego się w powietrzu piasku widziałem to długi bicz ciężka giursy, to kłębek popielatej sierści.

Dobiegłem do Wani, porwałem syna na ręce i zacząłem uciekać. Zatrzymałem się dopiero na wołanie żony. Postawiłem więc chłopca na ziemi i zawróciłem pędem w strachu, że coś złego stało się Farydzie. Byłem zdolny gołymi rękoma rzucić się na gada. Ale to nie było już potrzebne. Kiedy dobiegłem do żony, ta schylała się nad martwym, pięknym kotem bucharskim. Obok leżała nieżywa giursa.

Dopiero po dłuższej chwili zaczęliśmy się zastanawiać nad nieoczekiwaną odsieczą. Skąd tu się znalazł kot? Dlaczego zaatakował jak niebezpiecznego przeciwnika? Zazwyczaj przecież dopiero bezpośrednie zagrożenie sprawia, że kot decyduje się na tak desperacki krok.

Faryda pierwsza zaczęła przeszukiwać zarośla. Nie wiedziałem, po co to robi, ale poszedłem za jej przykładem. Już po paru minutach wyjaśniła się tajemnica. W krzakach znaleźliśmy ślady jeszcze jednego dramatu. W wymoszczonym sierścią gnieździe, przycupnięty i zastraszony siedział malutki kotek. Obok leżał drugi. Martwy.

Faryda wzięła kociaka na ręce i choć drapał i wyrywał się, poszliśmy z nim powoli. Po drodze próbowaliśmy odtworzyć przebieg wydarzeń. To chyba było tak: głodna giursa wybrała się na polowanie. Spotkała kocie legowisko i zaatakowała. Wtedy spłoszył ją Wania. Równocześnie musiała pojawić się kotka-matka. W obronie dzieci zaatakowała wroga.

Kociak został u nas. Nazwaliśmy go Wanią.

Tę fotografię zrobiono Oczkiljewowi Saideliowi w tym czasie, kiedy pracował przy budowie kanału. Właśnie tego dnia, po nocnej pracy, Saideli zastał pusty dom, a w stepie znalazł kota Wanię.

Po roku zaproponowano mi pracę przy budowie wielkiej elektrowni wodnej w Niureku. Warunki były dobre, praca bardzo ciekawa — zgodziłem się. Początkowo mieliśmy zamieszkać w hotelu robotniczym. Dopiero po roku, czy dwóch obiecano nam mieszkanie w nowo budowanych blokach.

W tych warunkach nie sposób było zabierać ze sobą kota. Umówiliśmy się z sąsiadami, że Wania zostanie u nich. Znaliśmy dobrze tych ludzi i wiedzieliśmy, że kotu nie będzie gorzej niż u nas.

Kiedy samochód ruszył, syn uronił trochę łez i całą drogę siedział milczący i nachmurzony. Nam też było przykro. Cóż jednak robić? Tak bywa w życiu.

Jechaliśmy prawie cały dzień. Z kołchozu położonego na samym południu Tadżykistanu do Niureku jest kilkaset kilometrów. Nad Wachsem — krajobraz nizinny, tu, — wysokie góry. Inny klimat, inne warunki i inna praca. Każdemu z naszej trójki było tu trochę obco, ale i ciekawie zarazem. Dni mijały szybko, pełne nowych wrażeń. Tylko czasami wieczorem widziałem, jak Faryda zatrzymuje się na chwilę z garnkiem mleka w ręku, jakby chciała nalać do kociej miseczki, albo Wania kręci się po pomieszczeniu, jakby czegoś szukał.

Po miesiącu, a może 5 tygodniach, pojechałem do Duszanbe, po wyjątkowo trudny ładunek. Przewieźliśmy górskimi serpentynami ogromnych kotłów — to sztuka nie lada. Jechaliśmy więc ślimaczym tempem. Zbyt cenny był ładunek, zbyt wiele wraków samochodowych leżało po drodze, nie można więc było ryzykować. Ta wolna jazda i poczucie odpowiedzialności bardzo nas męczyło. Odpoczywaliśmy więc po drodze dość często.

Było już pod wieczór, kiedy wreszcie minęliśmy najgorszy odcinek drogi. Kierownik kolumny zarządził ostatni już postój. W tym miejscu, gdzie droga zaczyna szerokimi zakosami schodzić w dół, aż po sam Niurek, w skale jest wydrążona studnia. Takiej wody, jak ta, prosto z gór płynącej, niełatwo znajdziesz w całej środkowej Azji. Każdy z nas napił się jej do syta, i jeszcze dwie, trzy butelki zabrał na zapas. W domu też się przyda.

Trawa w górach jest soczysta, zielona, nie ta co w dole. Rozłożyliśmy się na niej wygodnie. Jedni drzemali, inni opowiadali dowcipy. Ja po chwili wdrapałem się na zbocze, żeby narwać trochę kwiatów dla Farydy. I kiedy tak błądziłem po stokach góry, nagle, spod krzaków berberysu wypłoszyłem jakieś zwierzątko. Był już półmrok, dobrze więc nie dojrzałem, ale przysiągłbym, że to nasz kot.

— Wania — zawołałem nawet, ale się zaraz zawstydziłem. Bo niby skądże tu, tyleset kilometrów od doliny Wachsu nagle znalazłby się Wania.

Kiedy już znów siedziałem za kierownicą i raz jeszcze wspomniałem to dziwne spotkanie, zaczęło mi się nawet zdawać, że zwierzę, po moim okrzyku, na chwilę się zatrzymało. Odpędziłem jednak tę natrętną myśl, jako niedorzeczną, bezsensowną.

Następnego dnia długo odpoczywałem, a potem poszedłem z synem w góry, żeby mu wyszukać kij na wędzisko. I znów się przyłapałem na tym, że uważnie śledzę za każdym poruszeniem się krzaków, za każdym szelestem, jakbym ponownie oczekiwał dziwnego spotkania.

Tej nocy źle spałem. Budziłem się często, nadsłuchiwałem... Zaczynało już świtać, kiedy dobiegło mnie jakieś miauczenie. W Niureku mało kto trzymał koty, ale jednak parę sztuk było. Leżałem więc dalej, choć czułem, że serce zaczyna szybciej bić, że w pokoju robi się jakoś duszno. Ciche miauczenie znów się powtórzyło. Brzmiało jakoś rozpaczliwie, jak jęk ciężko chorego. Przynajmniej tak mi się zdawało. Czułem, że nie wytrzymam dłużej w mieszkaniu, że muszę wyjść, by samemu sobie udowodnić, że to po prostu złudzenie.

Na ścieżce przed domem leżał nasz na pół żywy Wania.

*

Obiad znów jedliśmy na werandzie. Pod stołem siedział, czekając cierpliwie na swoją porcję piękny kot. Kot — Wania.

JERZY B. KLIMA
Foto autora

ZEBRANIE KOLEGIUM

MINĘŁO KAWAŁ ZIMY, mrozy nie dokuczały nam zanadto. Słońce coraz mocniej przygrzewa, a w sercu robi się weselej. Kilka dni temu w jednej z gazet wyczytałem, że przyleciały skowronki. Za wcześnie.

Za wcześnie na przylot skowronków, choć tylko patrzeć, jak zjawi się wiosna. Nie za wcześnie jednak na nasze kolegium, które tym razem pragnę — wspólnie z wami — poświęcić prawdziwie wiosennej, a zarazem wesołej sprawie.

Na naszych spotkaniach redakcyjnego kolegium mówiliście już o wielu bardzo ważnych i poważnych sprawach. Teraz, warto by się może odprężyć. Przeczuwam, że będziecie mnie popierali, bo przecież zbliżająca się wiosna nastraja na wesoło. Z tej to wesołości ludzie wymyślili „prima aprilis". Najweselszy dzień w roku, najweselszy dzień w szkole.

1 kwietnia. Szkolne kawały, szkolne dowcipy. Mądre, inteligentne dowcipy, głupie kawały. Bo i tak, i owak bywa, prawda?

I teraz, moi drodzy, po raz już któryś odwołuję się do waszej pomocy. Nie zawiedliście mnie ani razu, zawsze przysyłaliście listy, pełne pomysłów i ciekawych uwag.

Tym razem czekam na opisy waszych dowcipów i kawałów, jakie zawsze urządzacie w dniu 1-szym kwietnia, a także i tych z całego roku szkolnego. Kogo i jak zaskoczyliście dobrym dowcipem, komu udało się was nabrać? Kawały są różne, dobre i złe, dowcipne i bez sensu, takie, które nie wywołują śmiechu, a raczej uśmiech politowania. Ale i o jednych i o drugich napiszcie, a my te najciekawsze wydrukujemy.

Pośmiejemy się razem i dzięki naszemu redakcyjnemu kolegium będą się śmiać czytelnicy w całej Polsce. Czekam więc. Piszcie szybko i pilnie, bo czasu pozostało niewiele.

REDAKTOR NACZELNY

WSI I DLA WSI

nienacji w h szkół szkoły olniczej a i leśódzkich

po upodstawa wsi i wać w powinni zkołach o. Jest

ich w bieżącym roku w całym kraju przeszło 2 700 i przyjmują bez egzaminu każdego, kto się do nich zgłosi, w wieku od 15 do 18 lat. Szkoły te nie mają internatów i przyjmują młodzież z najbliższej okolicy.

Nauka w SPR trwa dwa lata, a zajęcia szkolne — od września do końca czerwca.

Uczy się w tych szkołach **uprawy roślin, chowu zwierząt, ogrodnictwa, mechanizacji rolnictwa** oraz **organizacji gospodarstw rolnych** oraz języka polskiego, matematyki, fizyki, chemii, biologii i wychowania obywatelskiego.

W zależności od kierunku produkcji danego regionu niektóre SPR mogą realizować program **rolniczo-ogrodniczy** albo **ogrodniczo-hodowlany.**

Nadobowiązkowo, w zależności od warunków miejscowych, prowadzi się **zajęcia praktyczno-techniczne** osobno dla dziewcząt i chłopców.

Szkolenie praktyczne odbywa się w gospodarstwach rolnych rodziców (opiekunów) albo w gospodarstwach, w których zatrudnieni są rodzice, na działkach szkolnych oraz w bazach technicznych uspołecznionych gospodarstw rolnych i innych instytucji i organizacji rolniczych.

Zajęcia szkolne są tak zorganizowane, żeby uczniowie w okresach nasilenia prac polowych mogli brać udział w tych pracach.

Informacji o adresach SPR udzielają wydziały oświaty i kultury (inspektoraty oświaty) oraz kierownicy szkół podstawowych.

Podania należy kierować bezpośrednio do kierowników SPR. Do podania należy załączyć świadectwo ukończenia szkoły podstawowej i wypis aktu urodzenia lub dowód osobisty rodziców (do wglądu).

Absolwenci — po odbyciu rocznego stażu w uspołecznionych gospodarstwach rolnych uzyskują tytuł robotnika wykwalifikowanego i mogą się dalej kształcić w 3-letnich technikach rolniczych oraz w 3-letnich technikach zawodowych: **ekonomicznych** (administracja terenowa, wiejski obrót towarowy), **budowlanych** (budownictwo wiejskie) i **mechanicznych** (budowa i naprawa maszyn rolniczych, ciągników, samochodów oraz urządzeń mechanizacji rolnictwa).

* *

Szkoły przysposobienia rolniczego są wielką pomocą dla tych wszystkich, którzy chcą się dobrze przygotować do zawodu rolnika i mądrze w przyszłości gospodarzyć, dają wykształcenie ogólne potrzebne do kontynuowania dalszej nauki oraz wiele praktycznych wiadomości i umiejętności potrzebnych i przydatnych młodemu chłopcu czy dziewczynie w życiu codziennym. Mogą być również — przy dobrej chęci — ośrodkiem życia kulturalnego i punktem oparcia dla rozwijania własnych zainteresowań.

Wszyscy ósmoklasiści, a nawet starsze dziewczęta i chłopcy, którzy pozostaną na wsi, powinni tę wielką szansę wykorzystać.

REDAKTOR DYŻURNY

R. M. Majewski

JACK LONDON
MEKSYKANIN

Tłumaczyła MARIA KORNIŁOWICZ

(3)

NA ICH TWARZACH odbiło się zdumienie. Vera skinął głową, przełykając z trudem ślinę. Nie mógł wydobyć z siebie głosu, ale od razu wstąpiła weń ogromna ufność.

— Zamówcie broń — rzekł Rivera, po czym wyrzucił z siebie największą ilość słów, jaką kiedykolwiek słyszano z jego ust: — Czasu jest mało. Za trzy tygodnie przyniosę wam te pięć tysięcy. Dobra. Będzie cieplej, łatwiej będzie walczyć. Zresztą to wszystko, co mogę zrobić.

Vera walczył ze wzrastającą nadzieją. To było niewiarygodne. Zbyt wiele miłych sercu nadziei zostało rozbitych, odkąd rozpoczął rewolucyjną grę. Wierzył temu obdartemu zamiataczowi rewolucji, a jednocześnie wierzyć nie śmiał.

— Oszalałeś! — powiedział.

— Za trzy tygodnie — rzekł Rivera. — Zamówcie broń.

Wstał, spuścił rękawy i włożył kurtkę.

— Zamówcie broń — powtórzył. — Teraz wychodzę.

III.

PO GWAŁTOWNEJ WRZAWIE, wielu telefonach i przekleństwach odbywało się nocne posiedzenie w biurze pana Kelly. Kelly był zawalony interesami, a przy tym nie miał szczęścia. Sprowadził z Nowego Jorku Danny Warda, zaaranżował jego spotkanie z Billy Cartheyem, datę ustalił na trzy tygodnie naprzód, a teraz od dwóch dni, starannie ukrywając ten fakt przed prasą sportową, Carthey leżał, fatalnie poturbowany. Nie było nikogo na jego miejsce. Kelly telegrafował na wschód do wszystkich możliwych bokserów wagi lekkiej, lecz wszyscy byli związani terminami i kontraktami. Teraz zaś odżyła, choć słaba — nadzieja.

— To piekielna bezczelność z twojej strony — zwrócił się Kelly do Rivery, obrzucając go krótkim spojrzeniem, gdy tylko znaleźli się razem.

Nienawiść płonęła w oczach Rivery, lecz twarz jego pozostała obojętna.

— Mogę pobić Warda — powiedział tylko.

— Skąd wiesz? Widziałeś go kiedy w czasie walki? Rivera potrząsnął głową.

— Mógłby cię położyć jedną ręką, i to z zamkniętymi oczyma.

Kelly od razu przystąpił do rzeczy.

— Spójrz, Roberts, chwaliłeś się odkryciem tego małego Meksykanina. Wiesz, że Carthey złamał rękę. Otóż ten mały, żółty smyk bezczelnie wtargnął tu dzisiaj i powiada, że zajmie miejsce Cartheya. Co ty na to?

— Wszystko w porządku, Kelly — brzmiała powolna odpowiedź. — On może stanąć do walki.

— Może jeszcze powiesz, że on pobije Warda? — zgrzytnął Kelly.

Roberts zamyślił się.

— Nie, tego nie mówię. Ward to najwyższa klasa, to mistrz ringu. Ale Riverze tak zaraz nie zada bobu. Znam Riverę. Nikt nie może wyprowadzić go z równowagi. Nigdy nie spostrzegłem, żeby był rozdrażniony. W dodatku walczy obiema rękami. Potrafi posłać na deski z każdej pozycji.

— Mniejszą o to. Ale co on pokaże? Ty przez całe życie trenowałeś bokserów. Uchylam kapelusza, zdaję się na twój sąd. Czy publiczność będzie miała odpowiednie widowisko za swoje pieniądze?

— Na pewno, a w dodatku gotówem się założyć, że on dobrze da w kość Wardowi. Nie znasz tego chłopca, a ja go znam. Ja go odkryłem. On nie ma nerwów. To wcielony diabeł. To jest magik, gdyby się kto pytał. On tak usadzi Warda i da taki pokaz domorosłego talentu, że was wszystkich zadziwi. Nie twierdzę, że Warda pobije, ale pokaże taką grę, że wszyscy poznacie się na nim.

— Dobra jest — Kelly zwrócił się do sekretarza: — Telefonuj pan po Warda. Mówiłem mu, żeby przyszedł, jeśli uznam, że warto. On teraz jest w Yellowstone, obnosi się tam i zdobywa popularność. — Kelly odwrócił się znowu w stronę trenera. — Napijemy się?

Roberts pociągnął z kieliszka i rozgadał się.

— Nigdy wam nie opowiadałem, w jaki sposób odkryłem tego małego cudaka. Było to dwa lata temu, wyrósł jak spod ziemi na sali treningowej. Trenowałem wtedy Prayne'a do walki z Delaneyem. Prayne to zły człowiek. Nie ma ani krzty litości. Tłukł swoich partnerów okrutnie, więc nie mogłem znaleźć żadnego chłopca, który by chciał z nim ćwiczyć. Spostrzegłem tego małego, zagłodzonego Meksykanina, jak się tam włóczył, wówczas gdy już straciłem wszelką nadzieję. Zawołałem go, dałem mu rękawice i puściłem na ring. Był twardy jak rzemień, lecz słaby. A w sprawach boksu był zupełnym analfabetą. Prayne zbił go na kwaśne jabłko. Chłopak trzymał się przez dwie rundy, potem zemdlał. Był zagłodzony, to wszystko. Czy był pobity? Jeszcze jak! Rodzona matka by go nie poznała. Dałem mu pół dolara i porządną wyżerkę. Rzucił się na jedzenie jak wilk, trzeba to było widzieć. Widocznie od paru dni nic nie miał w ustach. Myślałem, że się wykończył, ale nazajutrz zjawił się znowu, zesztywniały i zbolały, gotów zasłużyć na dalsze pół dolara i dobrą wyżerkę. Z biegiem czasu zaczął się wprawiać. To urodzony bokser i niewiarygodnie wytrzymały. On nie ma serca. Jest bryłą lodu. Odkąd go znam, nigdy jeszcze nie wypowiedział jedenastu słów jednym ciągiem. Po prostu robi swoje.

— Widziałem go — rzekł sekretarz — dużo dla pana pracował.

— Wszystkie najtęższe chłopaki na nim ćwiczyły — odparł Roberts. — Wiele się od nich nauczył. Widziałem, że niektórych mógłby nawet pobić, ale on nie wkłada w to serca. Nigdy nie lubił boksu. Przynajmniej można tak sądzić z jego postępowania.

— W ostatnich czasach bił się w jakichś małych klubach — rzekł Kelly.

— Tak. Ale nie wiem, co go teraz ugryzło. Nagle, ni stąd, ni zowąd, obudził się w nim zapał do gry. Rozpędził się jak wichura i powymiatał wszystkich miejscowych przeciwników. Wygląda na to, że potrzebuje pieniędzy, i rzeczywiście trochę sobie zarobił, choć po jego ubraniu tego nie widać. To szczególny chłopak. Nikt nic o nim nie wie. Nie wiadomo, co on robi. Nawet jak przychodzi na trening, to przeważnie zaraz po skończeniu daje nura i znika. Czasem nie pokazuje się przez całe tygodnie. Nie słucha żadnych rad. Byłby prawdziwym szczęściarzem gość, który by go zaangażował, ale on nie chce o tym słyszeć. A ty każ mu poczekać na gotówkę, skoro zawrzecie umowę.

Cdn.

Rivera wzruszył ramionami.

— Nie masz nic więcej do powiedzenia? — warknął przedsiębiorca.

— Mogę go pobić.

— Czy już z kimś walczyłeś kiedykolwiek? — spytał Michał Kelly. Michał był bratem przedsiębiorcy i prowadził totalizatora*) w Yellowstone, zarabiając duże sumy na meczach.

Rivera spojrzał nań z goryczą i nie dał odpowiedzi.

Sekretarz przedsiębiorcy, młody człowiek o sportowym wyglądzie, roześmiał się głośno i drwiąco.

— Pięknie, znasz podobno Robertsa — przerwał Kelly nieprzyjazne milczenie. — Powinien tu zaraz nadejść. Posłałem po niego. Siadaj i zaczekaj, choć na oko sądząc nie masz żadnych szans. Nie mogę pokazać publiczności byle jakiej walki. Miejsca na widowni kosztują po piętnaście dolarów, wiesz o tym.

Gdy zjawił się Roberts, od razu widać było, że jest trochę podpity. Było to wysokie, chude, zwiotczałe indywiduum, a jego ruchy, podobnie jak mowa, odznaczały się łagodną powolnością i brakiem życia.

*) Totalizator — system gry hazardowej polegający na stawianiu pewnej sumy pieniędzy na jedną ze stron walczących.

● Każdy może zostać genialnym rysownikiem...

● Elektronowy nauczyciel poprawia krzywo napisane litery...

● Maszyna dyskutuje z człowiekiem...

● Obraz złożony z 17 milionów punktów...

Elektronowy MALARZ

NAUKA I FANTAZJA

DO TEJ CAŁEJ ZABAWY niepotrzebne są farby, ołówki, ani karton. Masz przed sobą czarny ekran, a w ręce coś w rodzaju grubego długopisu połączonego kablem z ekranem.

„Elektryczny długopis" zostawia na czarnym ekranie biały ślad, taki, jak kreda na tablicy.

Postanowiłeś narysować domek. Nie jesteś absolwentem Akademii Sztuk Pięknych, więc domek jest mizerny. Linie pionowe i poziome — faliste, okna — krzywe, proporcje — nieudane, perspektywa — „do chrzanu". Gdybyś rysował na papierze, trzeba by to ścierać gumką, albo wziąć nowy karton i zacząć od nowa. Ale ty rysujesz na ekranie nowej, genialnej maszyny IBM, która za ciebie wykona resztę.

Przyciskasz więc jeden z guzików, i dzieje się coś dziwnego! Obraz zaczyna drgać i widzisz, że zmienia się na twoich oczach. Krzywe linie prostują się, perspektywa — poprawia, proporcje — wyrównują! Wygląda teraz jak narysowany przez rutynowanego kreślarza, który całe życie nic innego nie robił, tylko rysował domki.

Ale to jeszcze nic. Naciskasz następny guziczek i twój domek... obraca się tyłem! Widzisz go teraz tak, jak byś stał za nim. Masz zresztą jeszcze inne możliwości. Możesz obejrzeć swój rysunek z perspektywy „ptasiej" — to znaczy tak, jak widziałby go lotnik; lub z perspektywy „żabiej" — czyli tak, jak widziałbyś go ty sam, jeśli położyłbyś się na ziemi, tuż obok ściany i spojrzał w górę.

Nauczyciel kaligrafii

JEŚLI MASZ młodszego brata, który dopiero uczy się pisać — sadzasz go oczywiście natychmiast przy twojej maszynie. Brat nieudolnie pisze na ekranie jakąś literę, nie ma jeszcze wprawy, więc litera jest nie bardzo podobna do siebie. Ale znowu wystarczy nacisnąć czarny guzik i maszyna poprawia, co jest do poprawienia. Teraz brat — widząc jak wygląda naprawdę to, co chciał napisać — próbuje naśladować idealne kształty, idzie mu teraz coraz lepiej. Maszyna za każdym razem niestrudzenie poprawia. Kiedy litera ma już kształty doskonałe — po naciśnięciu guzika nie zmienia się. Znaczy to, że maszyna IBM akceptuje formę, którą uważa za poprawną. W ten sposób można się szybko nauczyć pisać i to od razu bardzo ładnym charakterem. Nauka jest zabawą, naciskanie guzików łatwe.

Maszyna IBM przy pracy. Właśnie poprawiła rysunek przedstawiający siedzącą dziewczynkę.

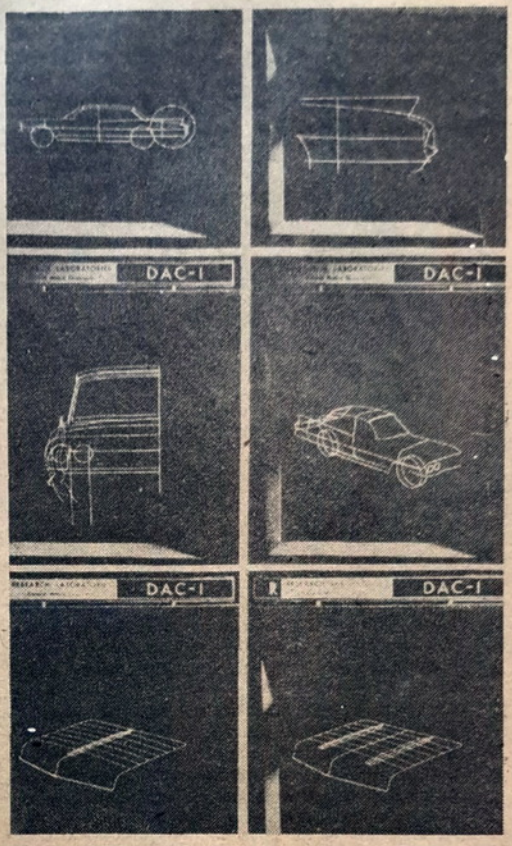

Ekran DAC-1. Elementy karoserii projektowanego samochodu. Dyskusja między projektantem a maszyną trwa.

17 milionów punktów

MASZYNY IBM — to nie fantazja. Są to maszyny cyfrowe o wąskiej specjalizacji. Ale jak to się dzieje, że zwykła maszyna cyfrowa, która w gruncie rzeczy umie tylko dodawać cyfry do siebie — potrafi wykonywać tak skomplikowany program? Urządzenie musi przecież najpierw przetłumaczyć kształty na ciągi cyfr, zanotować je w „pamięci", porównać z wzorcowymi zapamiętanymi kształtami, poprawić, przetłumaczyć z powrotem cyfry na kształty i wyrysować na ekranie. Okazuje się, że jest to możliwe, bowiem każdą linię można przedstawić w formie równania matematycznego. Ekran składa się z 17 milionów punktów, które zaświecają się w miejscu zetknięcia „elektronowego długopisu" z ekranem. Co więcej: każdy rysunek daje się zarejestrować na taśmie mikrofilmowej i potem można go odtworzyć w dowolnym powiększeniu bez potrzeby rysowania w innym formacie.

Rysownik może nie mieć racji

PODOBNIE działa maszyna DAC-1. Wykorzystywana jest ona przez projektantów karoserii samochodowych. Najpierw „ładuje" się w pamięć maszyny różne dane, np.: szerokość, długość, rozstaw kół i świateł, pojemność, profil aerodynamiczny itp. Potem rysownik — specjalista od projektowania karoserii — siada przed ekranem i zaczyna rysować. Jeśli projekt jest prawie dobry, maszyna go tylko poprawia. Jeśli zły — to znaczy nie odpowiada nawet w przybliżeniu warunkom technicznym — DAC-1 bezlitośnie go wymazuje.

Ale może się zdarzyć, że to, co narysowała maszyna — nie odpowiada z kolei projektantowi, wtedy on wymazuje rysunek maszyny i proponuje swoją, nową karoserię. Czyli w gruncie rzeczy „dyskutuje" z maszyną tak długo, aż fantazja rysownika pokryje się z warunkami technicznymi „bronionymi" przez maszynę.

W ten sposób w ciągu jednego dnia można zaprojektować nową karoserię — czyli wykonać pracę, która zajęłaby — bez przesady — kilka miesięcy całemu zespołowi specjalistów i konsultantów.

To dopiero początek...

...Bowiem w niedalekiej przyszłości, tego rodzaju maszyny będą wykonywały naprawdę fantastyczne prace.

● Będą przewidywały spotkania sputników w Kosmosie, ba... będą mogły odtworzyć dokładnie obraz katastrofy pojazdów kosmicznych, katastrofy, która nigdy nie dojdzie do skutku, gdyż zapobiegnie jej człowiek.

● Będą przedstawiały rysunki, np. satelitów Saturna, widzianych z jego powierzchni. Czyli człowiek zobaczy to, co mógłby zobaczyć, gdyby poleciał na Saturna.

● A w dalekiej przyszłości, być może wystarczy pomyśleć np. o Afryce, aby to, o czym pomyślimy, ukazało się na ekranie.

● A najdalsza przyszłość? To prawdopodobnie możliwość zapisania na ekranie i kolorowej taśmie filmowej naszych... snów.

Na razie jednak możemy spać spokojnie. Jeszcze jakiś czas nasze myśli, marzenia i sny pozostaną naszą wyłączną tajemnicą.

Oprac. J. DĄBROWSKI

„ŚWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. REDAGUJE ZESPÓŁ. Sekretarz redakcji — 28-25-48. Sekretariat administr. 21-15-61. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA I SPORTOWA" RSW „Prasa", Warszawa, ul. Bagatela 14. Biuro ogłoszeń — W-wa, Mokotowska 24, tel. 21-42-04. Druk. Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna z. 4.00 —, kwartalna 12.00 —. Wpłaty przyjmują Urzędy Pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać również można na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch", Warszawa, ul. Wronia 23 — do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, UL. MOKOTOWSKA 24.
Zam. 348. N-67

BATALIONY CHŁOPSKIE — taką nazwę nosiły oddziały partyzanckie, których czyny zbrojne w walce z hitlerowskim okupantem stanowią piękną kartę historii polskiego ruchu oporu. Chłopskie wojsko rozpoczęło swą działalność zbrojną zrywem bojowym w obronie wysiedlanej przez hitlerowców ludności polskiej na Zamojszczyźnie, na przełomie 1942—1943 roku. Partyzanci z Batalionów Chłopskich, podejmując walkę zbrojną w obronie swej ojcowizny i swej ziemi ojczystej, chlubnie zdali żołnierski egzamin.

Stoczone przed 25 laty zwycięskie bitwy pod Wojdą, Zaborecznem, Różą i Kosobudami przyczyniły się do zahamowania prowadzonej przez hitlerowców akcji wysiedleńczej, której towarzyszyły potworne zbrodnie i znęcanie się faszystów nad polską ludnością. Stały się jednocześnie sygnałem do zbrojnego uderzenia na hitlerowskiego okupanta w całym kraju, do walki o Polskę Ludową.

Partyzancki CHRZEST

1 LUTEGO 1943 ROKU oddziały Batalionów Chłopskich stoczyły kolejną bitwę partyzancką — pod wsią Zaboreczno. Mimo kilkakrotnej przewagi hitlerowcy stracili po całodziennej walce 103 zabitych i około 200 rannych. Następnego dnia walki przeniosły się w okolice wsi Róża, gdzie poległo kilku żołnierzy BCh.

„Łoś" czyli Józek Truś, cieszył się, że nareszcie będzie mógł wziąć udział w walce przeciwko hitlerowcom. Toteż do wyznaczonej w lesie, koło Grabina, koncentracji przygotowywał się niezmiernie starannie. Czyścił i przeglądał kilkakrotnie broń, szykował prowiant, zapasową bieliznę i „terenowe" ubranie.

Kiedy wraz z innymi ochotnikami zjawił się w Grabinie, spotkało go rozczarowanie. Porucznik „Azja", organizator 1 kadrowej kompanii BCh, odmówił przyjęcia „Łosia" i kilku innych chłopców do tworzącego się oddziału. Powiedział, że nie zachodzi wobec nich taka potrzeba, gdyż ich wioska nie została przecież wysiedlona przez Niemców. Na nic zdały się prośby i tłumaczenia — porucznik „Azja" był nieugięty. Pocieszył jednak chłopców, że jeszcze nieraz będą mieć okazję do porachunków z hitlerowcami.

„Łoś" był zrozpaczony, ale i uparty. Odwołał się do komendanta obwodu, majora Grzmota, który po długich „targach" wyraził w końcu zgodę na przyjęcie go do kompanii. Wnet jednak „Łoś" zrozumiał, że życie partyzanta nie składa się z przyjemności. Już nazajutrz odbył się całonocny marsz kompanii w bardzo uciążliwych warunkach — było zimno, sypał śnieg, w mroku nocy partyzanci potykali się o grudy ziemi i zmarznięte koleiny.

Po dotarciu do opustoszałej wsi Wojdą i zorganizowaniu w niej życia „koszarowego", mimo dyscypliny i ogromu pracy, „Łoś" był zadowolony. Odbywał ćwiczenia na równi z innymi partyzantami, mimo że oficjalnie przydzielony był do taboru. I choć z tego powodu miał więcej pracy od starszych kolegów, z chęcią chodził budować barykady na leśnych drogach wiodących do wsi.

Zimowy ranek — 30 grudnia 1942 roku — zastał „Łosia" przy obrządzaniu koni. Zamierzał właśnie po ich nakarmieniu zdrzemnąć się jeszcze, całą bowiem noc czyścił z kolegami broń maszynową, świeżo wydobytą z ziemi, kiedy serie strzałów poderwały wszystkich na równe nogi. To Niemcy przypuścili nagły atak na wieś. „Łoś" chwycił karabin i wybiegł na plac alarmowy.

Błyskawiczna zbiórka kompanii odbyła się pod silnym obstrzałem nieprzyjaciela. Dowództwo nad całością ,pod nieobecność porucznika „Visa", który wyszedł w nocy z 37-osobowym oddziałem radzieckim kapitana Wołodina i plutonem B Ch na wypad do Kosobud, objął plutonowy Danielewicz. Drużyny na jego rozkaz, zajęły pozycje obronne, on sam zaś na czele plutonu zaatakował od czoła Niemców, zmuszając ich do odwrotu. Po wykonaniu tego zadania pluton rozsypany w tyralierę zajął stanowiska bojowe na skraju lasu od północnej strony Wojdy.

Dla „Łosia" walka ta była ogromnym przeżyciem. Początkowo denerwował się, był przecież nowicjuszem w partyzanckim fachu, po raz pierwszy wąchał proch, ale jednocześnie radość rozsadzała mu piersi.

Wkrótce hitlerowcy przystąpili do ponownego natarcia. Nim jednak rozwinęli się w tyralierę, ogień partyzanckich karabinów zmusił ich do ponownego odwrotu. Podejmowali jeszcze kilkakrotnie ataki, ale za każdym razem kończyły się one niepowodzeniem. Niemcy wprowadzili do akcji ciężkie karabiny maszynowe, ostrzeliwując stanowiska partyzantów. Wywiązała się typowo pozycyjna walka.

...Bitwa trwała kilka godzin. „Łoś" przywykł do świstu kul, do huku i zapachu prochu. Denerwowały go tylko trafiające się niewypały. Amunicja wykopana niedawno z ukrycia, z ziemi, płatała figle. Nie było pewności, czy każdy pocisk wypali. Jeśli trafiał się niewypał podczas pozycyjnej wymiany strzałów, to jeszcze pół biedy, ale kiedy przytrafiało się to podczas kolejnego ataku hitlerowców, to trzeba było dobrze trzymać nerwy na uwięzi. Każdy czułby się wówczas nieomal bezbronnym. A co dopiero taki partyzancki nowicjusz, jakim był „Łoś".

W godzinach popołudniowych, na skutek wyczerpania się amunicji, oddział BCh wycofał się w głąb lasu.

Mimo dużej przewagi w ludziach i uzbrojeniu Niemcy nie zdołali zniszczyć pierwszej kadrowej kompanii Batalionów Chłopskich. W walce tej hitlerowcy stracili 20 zabitych, kilkudziesięciu rannych i dwa samochody. Straty BCh wyniosły 3 rannych i 3 zabitych, w tym jeden partyzant radziecki.

Bitwa pod Wojdą była dla „Łosia" i wielu innych żołnierzy chłopskiego wojska prawdziwym partyzanckim chrztem bojowym.

*

W ten oto sposób zapoczątkowane zostały otwarte walki z hitlerowcami w obronie wysiedlanej ludności na Zamojszczyźnie, a następnie na innych terenach. Bitwa pod Wojdą miała duże znaczenie, gdyż udowodniła chłopom, że Niemców można bić nawet kiepską bronią, przyczyniała się także do zahamowania akcji wysiedleńczej, wpłynęła w istotny sposób na rozwój ruchu partyzanckiego i oporu polskiej wsi przeciw okupantowi hitlerowskiemu.

Opracował J. KASPRZAK

Rys. J. Rocki

W KOŃCOWYM OKRESIE OKUPACJI Bataliony Chłopskie liczyły około 160 tysięcy żołnierzy, zgrupowanych w 84 oddziałach leśnych i kilkuset oddziałach specjalnych, w każdej chwili gotowych do walki z wrogiem w obronie zagrożonej ludności. Bataliony Chłopskie stoczyły ponad 1400 bitew i potyczek oraz przeprowadziły ogromną ilość akcji sabotażowych. Nie było w kraju ani jednej placówki BCh, która nie miałaby na swoim koncie chociaż kilku akcji zbrojnych przeciwko hitlerowcom.